

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



DENIS DIDEROT

Kubuś Fatalista i jego pan

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

Jak się spotkali? Przypadkiem, jak wszyscy. Jak się zwali? Na co wam ta wiadomość? Skąd przybywali? Z najbliższego miejsca. Dokąd dążyli? Alboż kto wie, dokąd dąży? Co mówili? Pan nic. Kubuś zaś, iż jego kapitan mawiał, że wszystko, co nas spotyka na świecie, dobrego i złego, zapisane jest w górze.

Pan: Oto mi wielkie słowo!

Kubuś: Mówił jeszcze, iż każda kula, która wylatuje na świat z rusznicy, posiada swój adres.

Pan: Miał słuszność...

Po krótkiej pauzie Kubuś zakrzyknął: – Niech diabeł porwie szynkarza i jego gospodę!

Pan: Czemu wysłać do diabła bliźniego swego? To nie po chrześcijańsku.

Kubuś: Bo tak: zalałem pałkę wińskim, zapomniałem napoić konie. Ojciec widzi to, wpada w złość. Ja wzruszani ramionami; on bierze kija i łąi mi plecy. Jakiś pułk przechodzi właśnie przez wieś, spiesząc pod Fontenoy; ze złości zaciągam się w rekruty. Przybywamy, zaczyna się bitwa...

Pan: I dostajesz kulę pod swoim adresem.

Kubuś: Zgadł pan: postrzał w kolano; Bóg tylko wie, co za przygody sprowadził na mnie ten postrzał. Trzymają się jedna drugiej jak ogniwa łańcuszka. Ot, gdyby nie ten postrzał, nigdy w życiu nie byłbym ani zakochany, ani kulawy.

Pan: Byłeś zakochany?

Kubuś: Czy byłem! dobre pytanie!

Pan: Z powodu postrzału?

Kubuś: Z powodu postrzału.

Pan: Nigdyś mi o tym nie rzekł ni słowa.

Kubuś: Myślę sobie.

Pan: Czemu?

Kubuś: Temu, iż to słowo nie mogło paść ani wcześniej, ani później.

Pan: I chwila opowiedzenia twoich amorów nadeszła?

Kubuś: Kto to wie?

Pan: Na wszelki wypadek zaczynaj...

Kubuś rozpoczął historię swoich amorów. Było po obiedzie, czas był parny; pan zdrzemnął się. Noc zaskoczyła ich w polu; zblądzili. Pan wpada w straszliwy gniew i nie szczędzi kijów słudze, nieborak zaś powtarza za każdym razem: „I ten musiał być widać zapisany w górze...”¹

Widzisz, czytelniku, że jestem na ładnej drodze: ode mnie by tylko zależało kazać ci czekać rok, dwa, trzy lata na opowieść o amorach Kubusia rozłączając go z panem i kazać każdemu z osobna wędrować przez wszystkie możliwe przygody. Cóż by mi przeszkodziło ożenić pana i przyprowadzić mu rogi? Wyprawić Kubusia na dalekie wyspy? Zapędzić tam jego pana? Sprowadzić obu z powrotem do Francji na jednym statku? Cóż łatwiejszego niż klecić opowieści! Ale tym razem wykpią się obaj ze sprawy jedną lichą spędzoną nocą, a wy tym małym opóźnieniem.

Zaczęło świtać; dosiedli koni i ruszyli swoją drogą. – A dokąd? – Już drugi raz zadajecie to pytanie i drugi raz odpowiadam: Na co wam wiedzieć? Skoro raz tknę się przedmiotu ich podróży, bywajcie zdrowe, miłostki Kubusia... Wędrowali jakiś czas w milczeniu. Gdy

¹ Uwaga ta, stanowiąca punkt wyjścia gawędy Kubusia i jego pana, znajduje się w tym samym brzmieniu u Sterne’a (*Życie i myśli Tristrama Shandy*, ks. VIII, rozdz. CCLXIII). Na ogół naśladowictwo Sterne’a, z którego nie raz czyniono zazrut tej powiastce, ogranicza się do paru szczegółów, zaczerpniętych zeń tak jawnie i niemal dosłownie, iż trzeba w tych analogiach z modą naówczas we Francji powieścią angielskiego pisarza wiedzieć raczej świadoną zabawkę autora, zgodną ze stylem całego opowiadania.

każdy otrząsnął się nieco ze swego zmartwienia, pan rzekł: – I cóż. Kubusiu, gdzieśmy utknęli w twoich amorach?

Kubuś: Utknęliśmy, o ile mi się zdaje, na porażce nieprzyjacielskiej armii. Jedni uciekają, drudzy gonią, każdy myśli o sobie. Zostaję na polu bitwy, zagrzebany pod mnogością zabitych i rannych, zaiste niezliczoną. Nazajutrz rzucono mnie wraz z tuzinem innych na wóz, aby nas zawieźć do szpitala. Och! panie, nie sądzę, aby istniało w świecie coś okrutniejszego niż rana w kolano.

Pan: Żartujesz chyba.

Kubuś: Nie, panie, dalibóg nie żartuję! Jest tam nie wiem ile kości, ścięgien i innych rzeczy, poprządywanych licho wie jak...

Jakiś człowiek, który człapał za nimi na koniu, wioząc za sobą oklep młodą dziewczynę, usłyszał te słowa i rzekł: – Pan ma słuszość...

Nie wiadomo było, do kogo się odnosi to „pan”, ale spotkało się zarówno u Kubusia, jak i u jego pana z nieszczególnym przyjęciem; Kubuś zaś rzekł do natręta: – Czego ty nos wściubiasz?

– Wściubiam nos do mego rzemiosła; jestem chirurg, do usług pańskich, i wykażę...

Kobieta, którą wioził za sobą, rzekła: – Panie doktorze, jedźmy swoją drogą i zostawmy tych panów, którzy nie lubią, aby im wykazywać...

– Nie – odparł chirurg – chcę wykazać i wykażę...

I odwracając się, aby wykazać, popycha towarzyszkę, pozbawia ją równowagi i strąca na ziemię, z jedną nogą zaczepioną o poły jego ubrania i spódnicami zawiniętymi na głowę. Kubuś schodzi z konia, uwalnia nogę biednej istoty i obciąga spódnice; nie wiem, czy zaczął od uwolnienia nogi, czy od obciągnięcia spódnic; ale o ile by się sądziło o stanie tej kobiety z jej krzyków, musiała zranić się dotkliwie. Zaś pan Kubusia rzekł do chirurga: – Oto, co znaczy wykazywać.

A chirurg: – Oto, co znaczy nie chcieć komuś pozwolić wykazać!...

A Kubuś do kobiety leżącej czy też pozbieranej z ziemi: – Pociesz się, dobra duszo, to ani twoja wina, ani pana doktora, ani moja, ani też mego pana; było napisane w górze, iż dzisiaj, na tym gościńcu, o tej właśnie godzinie pan doktor będzie gadułą, mój pan i ja będziemy parą mruków, ty nabijesz sobie sińca i pokażesz nam odwrotną stronę medalu...

W cóż by nie urosła ta przygoda w moich rękach, gdyby mi przyszła fantazja znęcać się nad wami! Uczyniłbym z tej kobiety ważną osobę; poruszyłbym kmiotków z całej parafii, wzniciłbym boje i miłości; bo trzeba przyznać, że ta córa wsi kryła rzadkie uroki pod swoją parcianką. Kubuś i jego pan zauważyli to; toć nieraz ani tyle nie było potrzeba, aby rozniecić miłość. Czemu Kubuś nie miałby się zakochać po raz drugi? Czemu po raz drugi nie miałby się stać rywalem, ba, zwycięskim rywalem swego pana? – A czyż zdarzyło się już kiedy coś podobnego? – Ciągłe pytania! Nie chcecie więc, aby Kubuś opowiadał dalej o swoich amorach? Porozumiejmy się wreszcie raz na zawsze: chcecie czy nie? Jeżeli tak, to posadźmy babę z powrotem na konia z chirurgiem, pozwólmy im jechać dalej i wróćmy do naszych podróży. Tym razem Kubuś zabrał głos i rzekł:

– Oto sądy ludzkie: pan, któryś nie był ranny w swoim życiu i nie wiesz, co to postrzał w kolano, utrzymujesz w żywe oczy mnie, który miałem kolano strzaskane i kuleję od dwudziestu lat...

Pan: Może masz słuszość. Ale ten przeklęty chirurg jest przyczyną, iż jeszcze oto gniesz się na wózku z kompanami, daleko od szpitala, daleko od wyleczenia i daleko od zakochania się.

Kubuś: Co bądź się panu podoba o tym myśleć, ból w kolanie był nie do zniesienia, a wzmagał się jeszcze od niewygodnego siedzenia i od wybojów, tak iż za każdym wstrząśnieniem wydawałem przeraźliwe krzyki.

Pan: Ponieważ było napisane w górze, że będziesz krzyczał?

Kubuś: Z pewnością! Krew uchodziła ciurkiem, byłbym niechybnie wyzionął ducha, gdyby nasz wózek, ostatni z kolei, nie zatrzymał się przed jakąś chałupą. Zacząłem wrzeszczeć, aby mnie zszadono; ułożono mnie na ziemi. Młoda kobieta, stojąca w progu, weszła do chaty i wróciła ze szklanką i butelką wina. Wypiłem parę łyków. Wózki, jadące przed nami, ruszyły. Już miano mnie rzucić z powrotem między towarzyszy niedoli, kiedy uczepiwszy się mocno sukien tej kobiety zakląłem się, że nie wsiądę z powrotem i że jeśli mam umierać, wolę już skończyć tu na miejscu niż o dwie mile dalej. To mówiąc omdlałem. Ocknąłem się w łóżku w niewielkiej izdebce; koło mnie stał jakiś wieśniak, widocznie gospodarz domu, jego żona (ta sama, która udzieliła mi pomocy) i kilkoro drobnych dzieci. Kobieta maczała róg fartucha w occie i nacierała mi czoło i skronie.

Pan: A, łotrze! a, zdrajco!... Widzę już, hultaju, dokąd zmierzasz.

Kubuś: A ja sędzę, że pan nic nie widzi.

Pan: Nie w tej kobiecie myślisz się zakochać?

Kubuś: A gdyby i tak było, cóż by można temu zarzucić? Czy człowiek ma siłę zakochać się lub nie zakochać? A kiedy jest zakochany, czy może postępować tak, jakby nim nie był? Gdyby tak było zapisane w górze, byłbym sobie sam powiedział wszystko, co pan masz zamiar mi powiedzieć; byłbym się wypoliczkował, tłukłbym głową o mur, wydierałbym sobie włosy; wszystko to nie zmieniłoby sprawy ani o włos i mój dobroczyńca byłby rogaczem.

Pan: Ale rozumując na twój sposób, każdą zbrodnię można by popełnić bez wyrzutów sumienia.

Kubuś: To, co mi pan zarzuca, niejednokrotnie trapiło moją mózgownicę; mimo wszystko wracam zawsze do poglądów mego kapitana: wszystko, co nam się trafia dobrego czy złego, jest zapisane w górze. Zna pan jaki sposób, aby wymazać to pismo? Czy mogę nie być sobą? A będąc sobą, czy mogę postępować inaczej niż ja? Czy mogę być sobą i kim innym? I od czasu jak jestem na świecie, czy była bodaj jedna chwila, w której by to nie było prawdą? Wyróżnij pan kazań, ile się panu spodoba, pańskie racje mogą być doskonałe; ale jeśli jest napisane we mnie albo tam w górze, iż mnie one nie trafią do smaku, cóż ja na to poradzę?

Pan: Dumam nad jedną rzeczą: czyś ty przypawił rogi swemu dobroczyńcy, bo tak było napisane w górze, czy też było napisane w górze, bo miałeś mu przypawić rogi?

Kubuś: I jedno, i drugie było napisane obok siebie. Wszystko było napisane od razu. To niby wielka wstęga, która rozwija się po troszeczkę...

Rozumiesz, czytelniku, dokąd mógłbym prowadzić tę rozmowę, na której temat tyle się już nagałdano, tyle napisano od dwóch tysięcy lat, nie posunąwszy rzeczy ani o krok. Jeśli nie czujesz dla mnie nieco wdzięczności za to, co mówię, winieneś mi jej sporo za to, czego ci oszczędzam.

Gdy nasi dwaj teologowie dysputowali nie mogąc dojść do porozumienia, jak się to czasem zdarza w teologii, zbliżała się noc. Jechali okolicą niezbyt pewną w każdym czasie, a tym bardziej w owym, gdy zła gospodarka i nędza napłodziły złoczyńców bez liku. Zatrzymali się w nędznej gospodzie. Ustawiono im dwa składane łóżka w klitce wpółotwartej na wsze strony. Zażądali wieczerzy. Przyniesiono wody z kałuży, czarnego chleba i skwaśniałego wina. Gospodarz, gospodyni, dzieci, służba – wszystko wyglądało podejrzanie. Słyszeli przez ścianę hulaszce śmiechy i hałaśliwą wesołość kilku opryszków, którzy przybyli wcześniej i sprzątnęli im sprzed nosa wszystkie zapasy. Kubuś był dość spokojny, pan o wiele mniej. Przechadzał się, zafrasowany, wzdłuż i wszerz, gdy sługa pochłaniał czarny chleb i krzywiąc się łykał szklankę po szklance lichego wina. Gdy się tak zabawiali, usłyszeli pukanie: był to służący. Owi zuchwali i niebezpieczni sąsiedzi zmusili go, aby za-

niósł naszym podróżnym talerz, na którym złożyli kości z drobiu, pozostałość swojej wieczerzy. Kubuś, oburzony, chwytając pistolety.

– Gdzie idziesz?

– Niech mnie pan puści.

– Gdzie idziesz? powiadam.

– Nauczyć rozumu tę kanalię.

– Czy wiesz, że ich jest tuzin?

– Choćby było stu, liczba nic nie znaczy, jeśli jest napisane w górze, że nie będzie wystarczająca.

– Niechże cię diabeł porwie z twoim niedorzecznym przysłowiem!...

Kubuś wyrzywa się panu, wchodzi do rzezimieszków trzymając w każdej ręce nabity pistolet. – Prędko, kłaść mi się zaraz – rzecze. – Pierwszemu, który się ruszy, palnę w łeb... – Mina i ton Kubusia były tak wymowne, iż hultaje, którzy cenili życie nie gorzej od każdego uczciwego człowieka, wstali nie pisnawszy słówka, rozebrali się i położyli. Pan, niepewny, w jaki sposób skończy się przygoda, czekał cały drżący. Kubuś wrócił niosąc odzienie tych ludzi, zabrał je z sobą, aby im nie przyszła pokusa wstać, zgasił światło i zamknął drzwi na dwa spusty, trzymając klucz w dłoni wraz z pistoletem. – A teraz, panie – rzekł do chlebowdawcy – wystarczy zabarykadować się przysuwając łóżka do drzwi i możemy spać spokojnie... – I zabrał się do przesuwania łóżek opowiadając zwięźle i sucho szczegóły wyprawy.

Pan: Ej, Kubusiu, co z ciebie za człowiek! Więc ty wierzysz...

Kubuś: Ani wierzę, ani nie wierzę.

Pan: A gdyby się nie chcieli położyć?

Kubuś: To było niemożliwe.

Pan: Dlaczego?

Kubuś: Bo tego nie zrobili.

Pan: A gdyby wstali?

Kubuś: Tym gorzej lub tym lepiej.

Pan: Gdyby... gdyby... gdyby... i...

Kubuś: Gdyby... gdyby morze zaczęło wrzeć, siła ryb by się ugotowała, jak mówią. Cóż, u diaska, przed chwilą myślał pan, że ja się narażam na wielkie niebezpieczeństwo; wierutny fałsz; teraz wyobrażasz sobie, iż sam jesteś w niebezpieczeństwie; hipoteza może równie fałszywa. Wszyscy w tym domu boimy się jedni drugich, co dowodzi, że wszyscy jesteśmy głupcy...

Tak rozprawiając rozebrał się, ułożył i zasnął. Pan zjadając z kolei kawałek czarnego chleba i dojąc łyk kwaśnego wina nadśluchiwał dokoła i patrząc na chrapiącego Kubusia myślał: „Cóż za człowiek!...” W końcu za przykładem sługi wyciągnął się również na pryczę, ale nie usnął ani na chwilę. Z pierwszym brzaskiem Kubuś uczuł, że coś go trąca: była to dłoń pana, który wołał po cichu: – Kubuś! Kubuś!

Kubuś: Co takiego?

Pan: Dnieje.

Kubuś: Możliwe.

Pan: Wstawaj.

Kubuś: Po co?

Pan: Aby się stąd wynieść jak najprędzej.

Kubuś: Po co?

Pan: Bośmy źle trafili.

Kubuś: Kto to wie; i czy lepiej trafimy gdzie indziej?

Pan: Kubuś?

Kubuś: I cóż: Kubuś! Kubuś! co z pana za człowiek!

Pan: Co z ciebie za człowiek! Kubuś, mój złoty, proszę cię.

Kubuś przetarł oczy, ziewnął kilka razy, przeciągnął się, wstał, ubrał się z wolna, odsunął łóżka, wyszedł z izby, zeszedł na dół, poszedł do stajni, osiodłał konie, założył uzdy, obudził śpiącego jeszcze gospodarza, zapłacił, zatrzymał klucze od obu pokoi i podróżni ruszyli w drogę.

Pan chciał się puścić galopem. Kubuś chciał jechać stępą, wciąż w myśl swej zasady. Gdy już byli o spory kawał drogi od smutnego noclegu, pan słyszał, że coś podzwania w kieszeni Kubusia, zapytał, co to takiego;

Kubuś odparł, że klucze.

Pan: Czemuż ich nie oddałeś?

Kubuś: Bo w ten sposób trzeba będzie wyważyć dwoje drzwi: naszych sąsiadów, aby ich uwolnić z więzienia, i nasze, aby znaleźć odzież; przez to zyskamy na czasie.

Pan: Wybornie, Kubusiu! ale czemu chcesz zyskać na czasie?

Kubuś: Czemu? Na honor, sam nie wiem.

Pan: Jeśli chcesz zyskać na czasie, czemu jedziemy truchtem?

Kubuś: Temu, iż nie wiedząc, co jest napisane w górze, człowiek nie wie, ani czego chce, ani co czyni; idzie za swym urojeniem, które mieni rozumem, albo za swym rozumem, który jest często jeno niebezpiecznym urojeniem wychodzącym czasem na dobre, czasem na złe.

Pan: Czy mógłbyś mi powiedzieć, co to wariat, a co człek rozumny?

Kubuś: Czemu nie?... Wariat... zaczekaj pan, to człowiek nieszczęśliwy; z czego wynika, iż człowiek szczęśliwy jest rozumny.

Pan: A co to jest człowiek szczęśliwy lub nieszczęśliwy?

Kubuś: To bardzo łatwe. Człowiek szczęśliwy to ten, którego szczęście zapisane jest w górze, ten więc, którego nieszczęście zapisane jest w górze, jest człowiekiem nieszczęśliwym.

Pan: A któż taki pisze tam w górze szczęście i nieszczęście?

Kubuś: A kto uczynił ów wielki zwój, gdzie wszystko jest zapisane? Pewien kapitan, przyjaciel mego kapitana, chętnie dałby bitego talara, aby to wiedzieć; kapitan sam nie dałby ani szeląga; ani ja. Na co by mi się to zdało? Czy unikałbym przez to dziury, w której mam kark skrócić?

Pan: Myślę, że tak.

Kubuś: Ja myślę, że nie; bo musiałyby być jakaś kreska fałszywa w wielkim zwoju, który zawiera prawdę, samą prawdę i całą prawdę. Byłoby tam napisane: „Kubuś skręci kark tego a tego dnia”, i Kubuś nie skręciłby karku? Czy wyobraża pan sobie, że to możliwe, bez względu na to, komu przypiszemy autorstwo wielkiego zwoju?

Pan: Wiele by rzeczy można powiedzieć o tym...

Kubuś: Mój kapitan mniemał, iż rozum jest to przypuszczenie, w którym doświadczenie pozwala nam uważać dane okoliczności za przyczyny pewnych skutków, których możemy się spodziewać lub obawiać.

Pan: I ty coś z tego rozumiesz?

Kubuś: Zapewne; stopniowo włożyłem się do tego języka. Ale, powiadał, kto może się chlubić, że ma dosyć doświadczenia? Ten, kto sobie tuszył, że go ma najobficiej, czy nigdy się nie oszukał? I czy istnieje człowiek zdolny trafnie ocenić okoliczności, w jakich się znajduje? Rachunek w naszych głowach a ten, który zapisany jest w rejestrach w górze, to dwie bardzo różne rzeczy. Czy my kierujemy losem, czy też los kieruje nami? Ileż roztropnie wykonanych zamysłów chybiło i jeszcze chybi! Ile niedorzecznych powiodło się i jeszcze się powiedzie! Oto, co mi powtarzał kapitan po wzięciu Berg-op-Zoom i Port-Mahon; dodawał, że przezorność nie daje pewności dobrego wyniku, ale daje pociechę i usprawie-

dliwienie w złym; toteż w wilię bitwy spał w namiocie tak spokojnie jak u siebie w alkierzu i szedł w ogień jak do tańca. Widząc go, dopiero byłbyś pan krzyknął: „Cóż za człowiek!...”

W tym punkcie usłyszeli, nieco za sobą, hałas i krzyki: odwrócili głowy i ujrzeni zgrają ludzi z drągami i widłami, zbliżających się spiesznym krokiem. Gotowicie myśleć, że to służba i owe opryszki z gospody. Gotowicie myśleć, że rankiem, w braku kluczy, wywalono drzwi, za czym bandyci wyobrazili sobie, że dwaj podróżni umknęli z ich odzieżą. Tak myślał Kubuś i mrucał przez zęby: – Przekłete niech będą klucze i urojenie czy racja, która mi je kazała zabierać! Przekłeta przezorność etc., etc. – Gotowicie myśleć, iż cała zgraja wpadnie na Kubusia i jego pana, że będzie krwawa bitwa, razy i strzały; jakoż zależałoby tylko ode mnie, aby to wszystko w istocie się stało; ale wówczas bywaj zdrowa prawdo, bywajcie zdrowe amory Kubusia. Faktem jest, iż podróżnych nikt nie ścigał i że nie wiem, co zaszło w gospodzie po ich wyjeździe. Jechali dalej swoją drogą, wciąż nie wiedząc, dokąd jadą, mimo iż wiedzieli mniej więcej, dokąd by chcieli jechać; jechali oszukując nudę i zmęczenie milczeniem i gawędą, jak zwykle ludzie odbywający podróż, a niekiedy także i siedzący na miejscu.

Jasnym jest, że ja nie piszę tutaj powieści, skoro gardzę wszystkim, czym powieściopisarz nie omieszkiałby się posłużyć. Kto by wziął to, co piszę, za prawdę, byłby może w mniejszym błędzie niż ktoś, kto by to wziął za bajkę.

Tym razem pan przemówił pierwszy, przy czym rozpoczął od zwykłej piosenki: – No i cóż, Kubusiu, a twoje amory?

Kubuś: Nie wiem, na czym stanąłem. Tak często musiałem przerywać, że na jedno by wyszło zacząć od początku.

Pan: Nie, nie. Ocknąwszy się z omdlenia znalazłeś się w łóżku, otoczony przez rodzinę wieśniaczą.

Kubuś: Doskonale! Otóż najpilniejszą rzeczą było sprowadzić chirurga, a nie było go na milę wokoło. Poczciwiec kazał wsiąść na koń jednemu z synów i wysłał go do miasteczka. Tymczasem dobra kobieta zagrzała cienkiego wina, podarła starą koszulę; obmyto, obłożono i zawinięto w płótno moje biedne kolano. Paroma kawałkami cukru, nie dojedzonego przez muchy, osłodziли zacni ludzie resztkę wina, które służyło do opatrunku, i dali mi się napić; po czym zachęcili mnie, abym miał cierpliwość. Było późno; siedli do stołu, aby wieczerzać. Wieczerza się skończyła, chłopca, chirurga ani śladu. Ojciec zaczął się złościć. Był to człowiek z natury zgryźliwy; wciąż gderał na żonę, nic mu nie było do smaku. Przepędził dzieci spać. Żona siadła i wzięła kądziel. On chodził tam i z powrotem, szukając zwady ze swą połowicą. – Gdybyś poszła do młyna, jak ci mówiłem... – mrucał i kończył wymownym gestem w moją stronę.

– Pójdę jutro.

– Właśnie dziś trzeba było iść, jak mówiłem... A cóż z resztką słomy, która jest w stodole? Na cóż czekasz, aby ją znieść?

– Zniesie się jutro.

– Tylko patrzeć jak braknie; byłoby lepiej, gdybyś zabrała dziś, jak mówiłem... A jęczmień, który pleśnieje na strychu; założyłbym się, nie pomyślałaś o tym, aby go przetrząsnąć.

– Chłopcy to już zrobili.

– Trzeba było zrobić samej. Gdybyś siedziała na strychu, nie byłabyś wystawała w drzwiach...

Tymczasem zjawił się chirurg, potem drugi, potem trzeci wraz z synem gospodarza.

Pan: Otoś bogaty w chirurgów jak święty Roch w kapelusze.²

² Św. Roch wedle legendy miał trzy kapelusze.

Kubuś: Pierwszego nie było w domu, gdy chłopaczek przybył go szukać; żona jego dała znać drugiemu, trzeci pospieszył z chłopcem. – Dobry wieczór kolegom; i wyście tu? – rzekł pierwszy... Spieszyli się, ile mogli, zgrzali się, pić im się chciało. Zasiedli dokoła stołu, z którego nie zdjęto jeszcze obrusa. Kobieta schodzi do piwnicy i wraca z butelką. Mąż mruczy przez zęby;

– Diabli ją wynieśli na ten próg przeklęty! – Popijają, rozmowa toczy się o chorobach w okolicy: zaczynają wyliczać pacjentów. Skarżę się na ból, powiadają:

– Zaraz będziemy do usług. – Po tej buteleczce zażądali drugiej na rachunek kuracji; potem trzeciej, czwartej, wciąż na rachunek kuracji; za każdą butelką mąż powtarzał swoje: – Diabli ją wynieśli na ten próg przeklęty!

Czegoż by nie wydobył inny z owych trzech chirurgów, z ich gawędy przy czwartej butelce, z mnogości ich cudownych kuracji, z niecierpliwości Kubusia, złego humoru gospodarza, z rozpraw naszych wioskowych eskulapów dokoła uszkodzonego kolana, z rozbieżności ich zdań! Jeden twierdziłby uparcie, że pacjent jest stracony, jeśli mu się co rychlej nie odejmie nogi, drugi, że trzeba wyjąć kulę i strzęp odzieży, jaki się dostał do rany, i darować nieborakowi jego odnóże. Można by pokazać Kubusia, jak siedzi na łóżku patrząc miłosiernie na swoją nogę i przesyłając jej ostatnie pożegnanie. Trzeci chirurg baraszkowałby sobie, póki by się nie wszczęła kłótnia, w której od słów przeszliby do czynów.

Daruję wam te szczegóły, których pełno znajdziecie w powieściach, w dawnej komedii i w życiu. Skoro usłyszałem gospodarza, jak wykrzyknął po raz dziesiąty: „Diabli ją wynieśli na ten próg przeklęty!”, przypomniałem sobie Molierowskiego *Harpagona*³, gdy powiada o synu: „Po kiegoż diabła łąził na ten statek?” I pojąłem, że nie tylko chodzi o to, aby być prawdziwym, ale że trzeba też być zabawnym; i to jest przyczyna, dla której po wiek wieków powtarzać będą: „Po kiegoż diabła łąził na ten statek?”, odezwanie zaś mego wieśniaka: „Diabli ją wynieśli na ten próg przeklęty!”, nie stanie się nigdy przysłowiem.

Kubuś nie zachował wobec pana względów, jakich ja przestrzegam wobec ciebie, czytelniku: nie opuścił najmniejszego szczegółu narażając go zgoła na niebezpieczeństwo powtórnego zaśnięcia. Skończyło się na tym, iż jeśli nie najzręczniejszy, to w każdym razie najsilniejszy z chirurgów utrzymał się przy pacjencie.

– Czy może (powiecie) masz zamiar rozkładać w naszych oczach lancety, wrzynać je w ciało, toczyć krew i kazać nam oglądać operację? Czy może, pańskim zdaniem, byłoby to arcydziełem smaku?... – Dobrze więc, daruję wam operację, ale pozwólcie bodaj Kubusiovi powiedzieć swemu panu: „Ach, panie, to jest straszliwa rzecz łątanie strzaskanego kolana!...” Panu zaś odpowiedzieć jak wprzód: „Ech, Kubusiu, żartujesz chyba...” Czego zaś za wszystkie skarby świata nie zgodziłbym się zataić, to tego, iż zaledwie pan Kubusia rzucił tę niedbałą odpowiedź, własny jego koń potyka się i pada, kolano pana wchodzi w bliską styczność ze spiczastym kamieniem, jego zaś właściciel krzyczy wniebogłosy: – Jezus, Maria! moje kolano!...

Kubuś, najlepszy chłopak, jakiego sobie można wyobrazić, tkliwie przywiązany był do pana; mimo to chciałbym wiedzieć, co się działo w jego duszy (jeśli nie w pierwszej chwili, to przynajmniej skoro się upewnił, że upadek ten nie będzie miał przykrych następstw) i czy mógł sobie odmówić drgnienia tajemnej radości z powodu przygody, która miała poczyć pana, jak smakuje zranienie w kolano! Druga rzecz, czytelniku, co do której rad bym, abyś mnie objaśnił, to, czy ów pan nie byłby wołał zranić się bodaj nieco ciężiej, byle nie w kolano, i czy nie bardziej dopiekał mu wstyd od bólu.

³ Omyłka ze strony Diderota. Nie *Harpagon*, ale *Geront w Szelmostwach Skapena*, akt II, scena 2.

Skoro pan ocknął się z upadku i przerażenia, wdrapał się na siodło i dał ostrogę koniowi, który pomknął jak błyskawica, toż samo kobyła Kubusiowa, gdyż między dwojgiem bydłać panowała ta sama poufałość co między ich panami: były to dwie pary przyjaciół.

Gdy wreszcie konie zdyszane wróciły do zwyczajnego kroku. Kubuś rzekł: – No i cóż, co pan o tym sądzi?

Pan: O czym?

Kubuś: O ranie w kolano.

Pan: Jestem twego zdania, to jedna z najokrutniejszych.

Kubuś: W pańskie kolano?

Pan: Nie, nie, w twoje, w moje, we wszystkie kolana w świecie.

Kubuś: Panie, panie, nie zastanowił się pan dobrze; wierz mi pan, żałujemy zawsze jeno siebie.

Pan: Co za głupstwo!

Kubuś: Ach, gdybym umiał mówić tak, jak umiem myśleć! Ale było napisane w górze, iż będę miał różne rzeczy w głowie, a nie będę umiał znaleźć wyrazów.

Tutaj Kubuś zapuścił się w metafizykę bardzo subtelną i może bardzo prawdziwą. Starał się wytłumaczyć panu, iż słowo b ó l jest samo w sobie bez treści i zaczyna coś znaczyć dopiero wówczas, gdy przywodzi na pamięć wrażenie, któregośmy sami doznali. Pan spytał, czy zdarzyło mu się kiedy rodzić.

– Nie – odparł Kubuś.

– A czy myślisz, że to wielki ból?

– Oczywiście!

– Litujesz się nad kobietą w bólach rodzenia?

– Bardzo.

– Zdarza ci się tedy litować nad kim innym niż sobą?

– Litość budzi we mnie istota, która załamuje ręce, wrywa sobie włosy, krzyczy, ponieważ wiem z doświadczenia, iż nie czyni się tego bez bólu; ale co się tyczy cierpień właściwych kobiecie rodzącej, nie lituję się nad nimi: nie wiem, co to jest. Bogu dzięki! Ale aby wrócić do niedoli, którą znamy obaj, do historii mego kolana, które stało się pańskim wskutek pańskiego upadku...

Pan: Nie, Kubusiu, do historii twojej miłości, która stała się moją wskutek moich minionych utrapień...

Kubuś: Leżę więc w łóżku czując po opatrunku odrobinę ulgi; chirurg odjechał, gospodarstwo ułożyli się do spoczynku. Izbę ich dzieliło od mojej jedno liche przepierzenie z desek, oklejonych szarym papierem z kolorowymi obrazkami. Leżałem nie mogąc usnąć; wśród tego usłyszałem głos żony mówiącej do męża:

– Daj mi spokój, nie mam ochoty do figlów. Biedny chłopiec, który omal nie skonał pod naszym progiem!...

– Kobieto, opowiesz mi to później.

– Nie, nie chcę. Jeśli mnie nie zostawisz, wstaję z łóżka. Chcesz, abym miała głowę do tego po takim zmartwieniu!

– Jeśli się będziesz tak drożyć, możesz się załapać.

– To nie dlatego, żeby się drożyć, ale naprawdę ty bywasz niekiedy tak uparty!... tak uparty!... bo to... bo to...

Po krótkiej pauzie mąż podjął rozmowę i rzekł:

– No, kobieto, przyznajże teraz, iż niewczesnym współczuciem wpakowałaś nas w kłopot, z którego diabli wiedzą, jak się wyplątać. Rok jest liche; ledwie zdołamy nastarczyć potrzebom naszym i dzieci. Zboże na wagę złota! Wina na lekarstwo! Gdyby jeszcze znaleźć jaką pracę; ale bogaci się kurczą, biedacy nie mają zarobku; na jeden dzień roboczy

cztery traci się darmo. Nikt nie płaci tego, co winien; wierzyciele ścigają jak wściekli; i ty wybierasz tę chwilę, aby ściągnąć tu jakiegoś przybłędę, który będzie siedział nam na karku, póki się spodoba Bogu i chirurgowi nie kwapiącemu się go wyleczyć; wiadomo bowiem, iż każdy chirurg stara się przyciągnąć chorobę, ile może, przybłędę, powiadam, który nie śmierdzi ani szelągami i który w dwój- i trójnasób pomnoży nam wydatki. Kobieto, kobieto, jakże ty się pozbędziesz teraz tego człowieka? Mówże co, żono, powiedz coś.

– Czyż z tobą można mówić?

– Powiadasz, że jestem wściekły, że gderam; kto by nie był wściekły? kto by nie gderał? Było jeszcze w piwnicy trochę wina: zobaczysz, czy na długo! Panowie chirurgowie wypili wczoraj wieczór więcej niż my i dzieci przez cały tydzień. A chirurg też, rozumiesz chyba, nie będzie przychodził darmo, któż go zapłaci?

– Mądrze mówisz; i dlatego że taka bieda, czynisz, co możesz, aby postarać się o nowe dziecko, jakby ich nie było dosyć.

– Ale nie!

– Ale tak; jestem pewna, że zastąpię.

– Za każdym razem to powtarzasz.

– I nigdy nie chybiło, zwłaszcza kiedy ucho mnie swędziało, a czuję swędzenie jak nigdy.

– Et, ucho...

– Nie dotykaj! zostaw moje ucho! zostawże, człowieku, czyś oszalał? pożałujesz!

– Aha! toć poszczę już od św. Jana.

– Poty będziesz wojował, aż... A potem za miesiąc będziesz się burmuszył, jakby to było z mojej winy.

– Nie, nie.

– A za dziewięć miesięcy jeszcze gorzej.

– Nie, nie...

– Zatem sam chcesz?

– Tak, tak...

– Będziesz pamiętał? Nie powiesz jak za każdym razem?

– Nie, nie...

I oto pomału, z n i e, n i e, d o t a k, t a k, ów człowiek, wściekły na żonę, iż dała przystęp uczuciom ludzkości...

Pan: Właśnie sobie czyniłem tę uwagę.

Kubuś: To pewna, że ów mąż nie był zbyt konsekwentny; ale był młody, a żona ładna. Nigdy nie robi się tyle dzieci co w czasach nędzy.

Pan: Nic się tak nie mnoży jak biedacy.

Kubuś: Jedno dziecko więcej to nic dla takich ludzi; miłosierdzie boskie je wyżywi. A potem to jedyna przyjemność, która nic nie kosztuje, człowiek pociesza się tanim kosztem w nocy po utrapieniach dnia... Mimo to uwagi gospodarza nie były bez słuszności. Podczas gdy sam to sobie mówiłem, uczułem gwałtowny ból w kolanie i krzyknąłem: – Au! kolano! – A mąż na to: – Och! żono!... – A żona: – Och! mężu! ależ... ależ... ten człowiek tam jest!

– No, więc cóż, ten człowiek?

– Może słyszał.

– A niechby słyszał.

– Nie będę mu śmiała jutro w oczy spojrzeć.

– A to czemu? czy nie jesteś moją żoną? Czy nie jestem twoim mężem? Czy mąż ma żonę, a żona męża na darmo?

– Och! Och!

– Cóż takiego?

– Ucho!...

- Cóż, ucho?
- Gorzej niż kiedy.
- Śpij, to przejdzie.
- Nie potrafię. Och, ucho! ucho!
- Ucho, ucho, łatwo to mówić...

Nie umiem panu powiedzieć, co zaszło; ale kobieta, powtórzywszy kilka razy u c h o, u c h o głosem cichym i przyspieszonym, zaczęła wreszcie bełkotać przerywanymi głoskami u... ch o..., u...ch o..., a potem, jako dalszy ciąg tego u...cha..., sam nie wiem, co jeszcze, wszystko razem, w połączeniu z milczeniem, jakie zaległo potem, pozwoliło wnosić, iż swędzenie ucha uśmierzyło się w ten lub ów sposób, mniejsza o to jak: co mi zrobiło szczerą przyjemność. No, a jej!

Pan: Kubusiu, połóż rękę na sercu i przysięgnij, że nie w tej kobiecie się zakochałeś.

Kubuś: Przysięgam.

Pan: Tym gorzej dla ciebie.

Kubuś: Gorzej lub lepiej. Myśli pan zapewne, iż kobiety, które są takiej przyrody co ona, chętnie użyczają ucha?

Pan: Myślę, i tak jest napisane w górze.

Kubuś: Ja myślę, że również napisane jest, że niedługo słuchają jednego i tego samego osobnika i że bywają skłonne użyczać ucha postronnym.

Pan: Możliwe.

I oto zapuścili się w nieskończoną dyskusję o kobietach. Jeden twierdził, że są dobre, drugi, że złe: i obaj mieli słuszość; jeden, że głupie, drugi, że pełne sprytu: i obaj mieli słuszość; jeden, że fałszywe, drugi, że szczere: i obaj mieli słuszość; jeden, że skąpe, drugi, że rozrzutne: i obaj mieli słuszość; jeden, że ładne, drugi, że szpetne: i obaj mieli słuszość; jeden, że gadatliwe, drugi, że skryte; jeden, że szczere, drugi, że obłudne; jeden, że ciemne, drugi, że rozumne; jeden, że stateczne, drugi, że wyuzdane; jeden, że postrzelone, drugi, że roztropne; jeden, że duże, drugi, że małe: i obaj mieli słuszość.

Wśród tej dysputy, podczas której mogli byli objechać dookoła ziemię nie przerywając ani na chwilę i nie doszedłszy do porozumienia, zaskoczyła ich burza, która skierowała ich... – Dokąd? – Dokąd? Czytelniku, ciekawość twoja zaczyna być bardzo niewygodna! Cóż ci, u diaska, na tym zależy? Kiedy powiem, że do Pacanowa, do Mościsk lub do Ryczywołu, czy dużo cię to posunie naprzód? Jeśli będziesz nalegał, powiem, iż skierowali się do... owszem, czemu nie?... do ogromnego zamku, nad którego bramą znajdował się napis: „Należę do nikogo i do wszystkich. Byliście tu, nimeście weszli, i będziecie jeszcze, skoro wyjdziecie”. – Czy weszli do tego zamku? – Nie, bo albo napis był fałszywy, albo byli już w zamku, nim doń weszli. – Ale przynajmniej wyszli stamtąd? – Nie, bo albo napis był fałszywy, albo byli tam jeszcze, skoro zeń wyszli. – I cóż tam robili? – Kubuś powiadał, iż to, co było napisane w górze; pan, iż to, co chciał: i obaj mieli słuszość. – Jakie towarzystwo zastali? – Mieszane. – Co mówiono? – Nieco prawdy i wiele kłamstw. – Czy byli tam ludzie dorzeczni? – Gdzież ich nie ma? a także i przekłeci zadawcze pytań, których unika się jak zarazy. A co najwięcej raziło Kubusia i jego pana przez cały czas, gdy się przechadzali... – Więc się przechadzali? – Bez ustanku, o ile nie siedzieli lub nie leżeli... Najwięcej raziło ich to, iż zastali z jakich dwudziestu śmiałków, którzy zagarnęli sobie najwspanialsze apartamenta, gdzie po największej części było im jeszcze ciasno. Zuchwalcy ci utrzymywali wbrew powszechnemu prawu i treści napisu, iż zamek przekazano im na własność; i przy pomocy garstki płatnych hultajów wparli to przekonanie w znaczną liczbę również płatnych przez siebie hultajów, gotowych za drobną monetę powiesić lub zamordować pierwszego, który by się sprzeciwił; bądź co bądź za czasu Kubusia i jego pana bywały wypadki takiej śmiałości. – Czy uchodziły bezkarnie? – To względne.

Powiecie mi, iż czynię sobie zabawkę i że nie wiedząc, co począć z mymi podróżnymi, rzucam się w alegorię, zwykły ratunek jałowych umysłów. Daruję wam moją alegorię i wszystkie skarby, jakie mógłbym z niej wydobyć; przyznam, co wam się spodoba, ale pod warunkiem, iż nie będziecie mnie nękać o ostatni nocleg Kubusia i jego pana; czy dobili do miasta i poszli do dziewcząt; czy spędzili noc u starego przyjaciela, który podjął ich najserdeczniej; czy poszukali schronienia u mnichów, gdzie dla miłości bożej dano im zły nocleg i lichą strawę; czy znaleźli gościnę w domu magnata, gdzie im brakowało wszystkiego, co potrzebne, przy obfитоści wszystkiego, co zbyteczne; lub też opuścili rankiem wielce pańską gospodę, gdzie im kazano zapłacić bardzo drogo za lichą wieczerzę podaną na srebrnych półmiskach i za noc spędzoną wśród adamaszkowych kotar w wilgotnych i nieświeżych prześcieradłach; lub przyjęli gościnność wiejskiego wikarego, który pospieszył obłożyć dziesięciną kurniki parafian, aby zdobyć dla gości omlet i potrawkę; albo też podpili sobie przednim winkiem, podjedli suto i zyskali dobrze zapracowaną niestrawność w bogatym opactwie bernardynów... Mimo że to wszystko zda się jednakowo możliwe, Kubuś nie był tego zdania; istotnie możliwą z tych możliwości była tylko ta, która była zapisana w górze. Co natomiast jest prawdą, to iż z jakiego bądź miejsca każecie im wyruszyć, nie ujechali jeszcze dwudziestu kroków, kiedy pan rzekł do Kubusia sięgnawszy uprzednio, wedle zwyczaju, do tabakierki: – No i cóż. Kubusiu, twoje amory? – Zamiast odpowiedzieć Kubuś wykrzyknął: – Do diabła z moimi amatorami! A toć ja, dalibóg, zostawiłem...

Pan: Cóżś zostawił?

Miast odpowiedzi Kubuś wywraca wszystkie kieszenie i przeszukuje daremnie. Zostawił pod poduszką mieszek z pieniędzmi, ale ledwie zdążył uczynić panu to przykre wyznanie, ów zakrzyknął: – Do diabła z twoimi amatorami! Zegarek mój został na kominku!

Kubuś nie dał się prosić; zatoczył koniem i poczłapał z powrotem wolnym truchtem, nigdy bowiem nie było mu spieszno. – Do ogromnego zamku? – Nie, nie. Z rozmaitych możliwych noclegów wybierzcie ten, który najlepiej odpowiada okolicznościom.

Tymczasem pan jechał ciągle naprzód; pan i sługa tedy rozdzielili się i nie wiem, któremu towarzyszyć. Jeśli chcecie udać się za Kubusiem, miejcie się na baczności: poszukiwanie sakiewki i zegarka może być tak długie i zawikłane, że nieprędko uda się słudze połączyć ze swym panem, jedynym powiernikiem jego amorów, a wtedy bywajcie zdrowe, amory Kubusia. Jeśli, wysławszy go na poszukiwanie zegarka i sakiewki, zechcecie dotrzymać kompanii panu, będzie to z waszej strony wielka uprzejmość, ale przyplaciecie ją potężną nudą; nie znacie jeszcze ludzi tego gatunku. Myśli w głowie na lekarstwo; jeśli mu się zdarzy powiedzieć coś do rzeczy, to chyba coś zasłyszanego albo też przypadkiem. Ma oczy jak wy i ja; ale przeważnie nie wiadomo, czy patrzy. Nie śpi, a nie czuwa: pozwala spływać życiu, to jego zatrudnienie. Automat ów wędrował przed siebie oglądając się od czasu do czasu, czy Kubuś nie wraca; zląził z konia i szedł piechotą; wsiadał, jechał ćwierć mili, znów zląził i siadał na ziemi okręciwszy uzdę dokoła garści i wsparłszy głowę na rękach. Kiedy się znużył tą postawą wstawał i patrzył, czy nie widać Kubusia. Ani śladu! Wówczas niecierpliwił się, raz po raz mruczał bezmyślnie: „Hycel! pies! łajdak! Gdzie on siedzi?! Co on robi? Czy potrzeba tyle czasu, aby odnaleźć sakiewkę i zegarek? Kości mu pogruchocę! to go nie minie; och, kości pogruchocę!” Następnie szukał zegarka w kieszonce, gdzie go nie było, i popadał stopniowo w rozpacz, nie wiedział bowiem, co począć bez zegarka, tabakierki i Kubusia; były ot trzy pociechy jego życia, które spływało na zażywaniu tabaki, spoglądaniu na godzinę i zadawaniu pytań Kubusiowi, a to we wszystkich możliwych kombinacjach. Pozbawiony zegarka, musiał się ograniczyć do samej tabakierki, którą otwierał i zamykał co minutę, ot, jak i ja czynię, kiedy się nudzę. Wieczorna resztką tabaki w mojej tabakierce stoi w stosunku prostym do zabawy lub odwrotnym do nudy w cią-

gu dnia. Błagam cię, czytelniku, oswój się z tym sposobem mówienia zapożyczonym z geometrii, podoba mi się bowiem jego ścisłość i będę się nim nieraz posługiwał.

No i cóż? Masz dosyć pana; a że sługi coś nie widać, czy zechcesz, abyśmy podążyli ku niemu? Biedny Kubuś! w chwili gdy o nim mówimy, wykrzyknął boleśnie: – Było tedy napisane w górze, iż jednego i tego samego dnia przytrzymają mnie jako złodzieja i bandytę, zaprowadzą do więzienia i w dodatku pomówią o uwiedzenie dziewczyny!

Gdy wolnym truchcikiem zbliżał się do zamku... nie... do miejsca ostatniego noclegu, minął go wędrowny kramarz, z tych, co to kupczą wszelkim towarem, i krzyknął: – Panie szlachcicu, mam podwiązki, paski, łańcuszki, tabakierki najnowszej mody, dewizki, pierścionki, pieczętki. Oto zegarek: złoty, cyzelowany z podwójną kopertą, jak nowy... – Kubuś odparł: – Szukam właśnie zegarka, ale to nie ten... – i dalej człapał wciąż wolnym truchcikiem. Gdy tak jechał, nagle zdało mu się, iż widzi napisane w górze, że zegarek ofiarowany przez tego człowieka jest tożsamy z zegarkiem jego pana. Nawraca tedy i rzecze: – Pokaż no, przyjacielu, ów złoty zegarek, mam jakieś przeczucie, że mi się nada.

– Na honor – odparł przekupień – nie dziwiłbym się: piękna, bardzo piękna sztuka, prawdziwy Julian Le Roi⁴. Ledwo parę chwil, jak go mam w posiadaniu, nabyłem go za bezcen, oddam też niedrogo. Lubię zysk mały a częsty; teraz lichy czas na interesa: mogę ze trzy miesiące czekać na podobną gratkę. Wyglądasz na pocziwego człeka; wolę, byś pan skorzystał niż kto inny...

Tak gwarząc przekupień ułożył skrzynkę na ziemi, otworzył ją i wydobył zegarek, który Kubuś poznał natychmiast i bez zdziwienia; o ile bowiem nigdy się nie spieszył, o tyle dziwił się rzadko. Obejrzał dobrze zegarek: „Tak – powiedział sobie w duchu – to ten...” Do przekupnia zaś: – Masz słuszość, ładny, bardzo ładny i wiem, że chodzi doskonale... – Po czym, wpuszczając zegarek do kieszonki, rzekł:

– Przyjacielu, ślicznie dziękuję!

– Jak to, ślicznie dziękuję?

– Tak, to zegarek mego pana.

– Nie znam żadnego pana, zegarek jest mój, kupiłem go i zapłaciłem gotówką...

I chwytając Kubusia za kołnierz, zaczął się z nim szamotać. Kubuś rzuca się do konia, chwytając pistolet z olstrów i, przykładając go kramarzowi do piersi, woła: – Umykaj lub zgini! – Kramarz, przerażony, porzuca zdobycz. Kubuś siada z powrotem na konia i rusza ku miastu mówiąc w duchu: „Mamy zegarek, pomyślmy o sakiewce...” Kramarz zamyka w pośpiechu skrzynkę, bierze ją z powrotem na plecy i spieszy za Kubusiem, wołając: – Złodziej! złodziej! morderca! na pomoc! do mnie! do mnie!... – Było to w porze zbiorów: w polu było pełno ludzi. Porzucają sierpy, gromadzą się koło przekupnia i pytają, gdzie złodziej, gdzie morderca.

– O, ten, co jedzie.

– Jak to! ten, który jedzie truchtem ku miastu?

– Ten sam.

– Idźcież, człowieku, źle macie w głowie, toć złodziej nie jedzie takim krokiem.

– Złodziej, powiadam wam, złodziej: wydarł mi przemocą zegarek...

Ludzie nie wiedzieli, komu wierzyć, krzykom przekupnia czy spokojnemu truchtowi Kubusia. – Słuchajcie, dobrzy ludzie – krzyczał ciągle kramarz – zarżnięty jestem, jeśli mi nie pomożecie; wart był trzydzieści ludwików jak grosz. Ratujcie mnie, toć on uwozi moje mienie: jeśli mu przyjdzie ochota puścić się galopa, pożegnam się z zegarkiem...

Kubuś, o ile nie był w możności słyszenia krzyków, łatwo mógł widzieć zbiegowisko, ale nie pospieszył kroku. Wreszcie nadzieją nagrody udało się kramarzowi zachęcić chłopków do pogoni. I oto gromada mężczyzn, kobiet i dzieci puszcza się za Kubusiem i krzy-

⁴ Słynny zegarmistrz współczesny.

czy: – Złodziej! złodziej! morderca! – kramarz zaś kuśtyka za nimi tak chyżo, jak tylko pozwalała mu jego tobolek, i krzyczy: – Złodziej! złodziej! morderca!

Wkroczyli tak do miasta, w owym bowiem mieście Kubuś i jego pan spędzili ostatnią nocleg; przypominam sobie w tej chwili. Mieszkańcy wylęgają z domów, przyłączają się do chłopków i do kramarza i krzyczą zgodnym chórem: – Złodziej! złodziej! morderca!... – Wszyscy dopadli Kubusia niemal równocześnie. Skoro kramarz rzucił się na niego. Kubuś wymierzył mu kułakiem cios, który go obalił na ziemię, ale jeszcze w tej pozycji ów krzyczał nieustannie: – Łotrze, łajdaku, zbrodniarzu, oddaj zegarek! Oddasz, obwiesiu, a mimo to będziesz dyndał... – Kubuś zachowując zimną krew zwrócił się do tłumu, który wzrastał z każdą chwilą, i rzekł: – Musi tu być komisarz policji, proszę zaprowadzić mnie do niego; tam postaram się udowodnić, że nie jestem łajdakiem, natomiast ten człowiek może się nim łatwo okazać. Wziąłem mu zegarek, prawda; ale to zegarek mego pana. Nie jestem zupełnie obcy w tym mieście: przedwczoraj wieczór byliśmy tu z panem i zatrzymaliśmy się u naczelnika sądu, jego dawnego przyjaciela. – Jeśli wam nie mówiłem poprzednio, że Kubuś i jego pan przejeżdżali przez Conches i stanęli u naczelnika tanecznego sądu, to iż nie nadarzyła się sposobność. – Proszę mnie zaprowadzić do pana sędziego – powtarzał Kubuś zsiadłszy z konia. W środku orszaku paradowali Kubuś, jego koń i przekupień. Przybywają do siedziby sędziego. Kubuś, koń i kramarz wchodzą do środka, przy czym Kubuś i kramarz trzymają się wzajem za klapy surduta. Tłum został zewnątrz.

Co robił tymczasem pan Kubusia? Zdrzemnął się przy gościńcu z uzdą w garści, przy czym zwierza skubało trawę wpodłe śpiącego, o ile pozwalała na to długość uzdy.

Skoro tylko pan sędzia ujrzał Kubusia, wykrzyknął:

– Tyżeś to, dobry Kubusiu! Cóż cię sprowadza samego z powrotem?

– Zegarek mego pana: wyjeżdżając zostawił go na kominku, ja zaś znalazłem go w walizce tego człowieka; dalej sakiewka zapomniana przy łóżku, która też się odnajdzie, jeśli pan rozkaże.

– I jeśli tak jest zapisane w górze... – dodał dygnitarz.

Natychmiast kazał zwołać swoich ludzi; kramarz zaś wskazując wysokiego draba o dość podejrzaną minę, niedawno przyjętego do domu, rzekł: – To ten sprzedał mi zegarek.

Urzędnik przybierając groźne oblicze rzekł do kramarza i do służącego: – Zasługiwaliście obaj na galery; ty, że sprzedałeś zegarek, ty, że go kupiłeś...

– Do lokaja: – Oddaj mu pieniądze i ściągaj natychmiast liberię... – Do kramarza: – Czym prędzej wynoś się z okolicy, jeśli nie chcesz, aby cię w niej przygwożdżono na zawsze. Obaj bawicie się rzemiosłem, które nie wyjdzie wam na dobre... Teraz, Kubusiu, zajmijmy się sakiewką. – Osoba, która ją sobie przywłaszczyła, stawiała się nie wzywana; była to pięknie wyrośnięta dziewczyna, zbudowana na schwał. – To ja, panie, mam tę sakiewkę – rzekła do pryncypała – ale nie ukradłam, dał mi ją.

– Ja ci dałem sakiewkę?

– Tak.

– Możliwe, ale niech mnie diabli porwą, jeżeli sobie przypominam...

Sędzia rzekł do Kubusia: – No, no. Kubusiu, nie wyjaśniajmy dalej.

– Panie...

– Wedle tego, co widzę, jest ładna i niedzika.

– Panie, przysięgam...

– Ileż było w sakiewce?

– Około dziewięciuset siedemnastu liwrów.

– Och, Joasiu! dziewięćset siedemnaście liwrów za jedną noc to o wiele za dużo jak na was oboje. Daj mi tę sakiewkę...

Dziewucha podała sakiewkę panu, który dobył podwójnego talara: – Masz – rzekł – oto zapłata za twoje usługi, warta jesteś więcej, ale dla kogo innego niż Kubuś. Życzę ci dwa

razy tyle każdego dnia, ale nie w moim domu, rozumiesz? A ty. Kubusiu, siadaj co żywo na koń i wracaj do pana.

Kubuś skłonił się sędziemu i oddalił się bez odpowiedzi, ale mówił sobie w duchu: „A, szelma!, a łajdaczka! Było tedy napisane w górze, że inny się z nią prześpi, a Kubuś zapłaci!... Ech, pociesz się, Kubusiu, czy nie dosyć szczęścia, że odnalazłeś swoją sakiewkę i pański zegarek i że cię to kosztowało tak niewiele?”

Kubuś wsiada na konia i rozpiera ciżbę, jaka się uczyniła przed domem; ale ponieważ ciężko mu było przenieść, by tylu ludzi miało go brać za hultaja, powoli i rozmyślnie wydobyl z kieszeni zegarek i popatrzył na godzinę; następnie dał ostrogę koniowi, który, nie przyzwyczajony do tego, pognał z kopyta. Zwyczajem Kubusia było dać mu iść krokiem, jaki sam koń uznał za właściwy; równie niewczesnym zdało mu się zatrzymywać go, gdy galopował, jak popędzać, gdy szedł powoli. Zdaje się nam, że prowadzimy los, gdy w istocie on zawsze nas prowadzi; losem zaś mienił Kubuś wszystko, co spotkał na drodze: konia, własnego pana, mnicha, psa, kobietę, muła, wronę. Konik niósł go tedy całym pędem ku panu, który zdrzemnął się był przy gościńcu z uzdą w garści, jak wspomniałem. Skoro Kubuś zastał pana w tej pozycji, uzda była na swoim miejscu, ale konia nie było. Widocznie jakiś hultaj zakradł się ku śpiącemu, obciął uzdę i uprowadził bydłatko. Na tętent Kubusowego konia pan zbudził się; pierwszym jego słowem było: – Chodź no, chodź, gałganie! ja cię... – Tu zaczął ziewać na łokieć szeroko.

– Ziewaj pan, ziewaj do syta – rzekł Kubuś – ale gdzie pański koń?

– Koń?

– Tak, koń...

Pan spostrzegając, iż skradziono mu konia, miał już wpaść na Kubusia zamachując się resztką uzdy, ale ten rzekł: – Powoli, panie, nie jestem dziś w usposobieniu, żeby się dać grzmocić; uderzy mnie pan raz, ale przysięgam, że za następnym spinam konia i zostawiam pana, jak pan stoi...

Groźba Kubusia ostudziła natychmiast gniew pana, który rzekł znacznie łagodniej: – A zegarek?

– Oto jest.

– A sakiewka?

– Oto jest.

– Długoś siedział.

– Niezbyt długo, jak na to, com zdziałał. Posłuchaj pan. Przybyłem na miejsce, wdałem się w bójkę, poruszyłem całą wieś przeciw sobie, wzięto mnie za opryszka i złodzieja, zaprowadzono do sędziego, przeszedłem podwójne śledztwo, omal nie wysłałem dwóch ludzi na szubienicę, przyprawilem lokaja o wygnanie z domu, pokojówkę o stratę miejsca, przekonano mnie, iż spędziłem noc w łóżku osoby, której nigdy nie widziałem, a której mimo wszystko zapłaciłem; i jestem z powrotem.

– A ja czekając na ciebie...

– Było napisane w górze, że czekając na mnie zdrzemnie się pan i że panu skradną konia. Ha, cóż! nie myślmy o tym! niewielką rzeczą jeden koń stracony, a może jest napisane w górze, że się odnajdzie.

– Mój koń! mój biedny koń!

– Choćbyś pan lamentował bodaj do jutra rana, nic to nie pomoże ani nie odmieni.

– Cóż teraz począć?

– Wezmę pana z tyłu oklep albo też, jeśli pan woli, zdejmujemy buty, przytroczymy je do siodła i będziemy dalej iść piechotą.

– Mój koń, mój biedny koń!

Postanowili raczej wędrować piechotą, przy czym pan wzdychał od czasu do czasu: „Mój koń! mój biedny koń!”. Kubuś zaś rozwijał obszerniej treść swych przygód. Skoro doszedł do zeznań owej dziewczyny, pan rzekł:

– Naprawdę, Kubusiu, nie spałeś z tą dziewczyną?

Kubuś: Nie, panie.

Pan: I zapłaciłeś?

Kubuś: Tak się widzi.

Pan: Raz w życiu zdarzyło mi się większe nieszczęście.

Kubuś: Zapłacił pan przespawszy się wprzód?

Pan: Rzekłeś.

Kubuś: Nie opowie mi pan tego?

Pan: Nim zapuścimy się w historię moich amorów, trzeba wprzód wybrać z twoich. No! Kubusiu, dzieje twojej miłości, którą przyjmuję jako pierwszą i jedyną twego życia mimo przygody ze służącą w Conches; gdybyś nawet się z nią przespał, nie znaczy, żeś był zakochany. Co dzień prawie sypia człowiek z kobietami, których nie kocha, a nie sypia z tymi, które kocha. Ale...

Kubuś: Cóż, ale?... Co panu?

Pan: Mój koń!... Kubusiu, serce, nie gniewaj się: postaw się na miejscu mego konia, wyobraź sobie, że ciebie straciłem, i powiedz, czy nie cenilibyś mnie tym więcej, słysząc, jak wzdycham: „Mój biedny Kubuś!”

Kubuś uśmiechnął się i rzekł: – Stanęliśmy, o ile pamiętam, na rozmowie gospodarza z żoną w noc po pierwszym opatunku. Zasnęłem trochę. Gospodarz i jego połowica wstali nieco później niż zwykle.

Pan: Bardzo wierzę.

Kubuś: Obudziwszy się rozsunałem firanki i ujrzałem gospodarza, żonę i chirurga w tajemniczej naradzie na progu. Po tym, com słyszał w nocy, nietrudno było domyślić się treści. Chrząknąłem. Chirurg rzekł:

– Obudził się; zejdźcie no, kumie, do piwnicy, golniemy łyczek; to daje dziwną pewność ręki. Zdejmę opatunek i pogadamy o reszcie.

Skoro przyniesiono i wypróżniono butelkę, jako że wedle terminów sztuki g o l n ą ć ł y c z e k znaczy wypróżnić co najmniej jedną butelkę, chirurg zbliżył się i rzekł: – Jakąż mieliśmy noc?

– Niezłą.

– Proszę rękę... Dobrze, dobrze, puls niezgorszy, gorączki prawie że nie ma. Trzeba zobaczyć kolano... Dalej, gospośiu – rzekł do gospodyni, która stała w nogach łóżka za firanką – pomóżcie nam... – Gospodyni zawołała na któreś z dzieci. – Nie dziecko nam potrzebne, ale wy sami; jeden fałszywy ruch przysporzyłby roboty na miesiąc. Zbliźcie się, pani kumo.

– Gospodyni zbliżyła się ze spuszczonymi oczyma.

– Weźcie nogę, tę zdrową, ja biorę na siebie drugą. Powoli, powoli... Tak, ku mnie, jeszcze troszeczkę ku mnie... Mój przyjacielu, wykręć no trochę na prawo... o tak... jesteśmy w domu...

Trzymałem się oburącz siennika, zgrzytałem, pot ściekał mi po twarzy. – Mój chłopcze, to nie zabawa.

– Czuję to.

– Doskonale! Pani kumo, puśćcie nogę, weźcie poduszkę! przysuńcie krzesło i połóżcie poduszkę na nie... Za blisko... trochę dalej... Mój przyjacielu, podaj mi rękę... ściśnij mocno. Pani kumo, obejdźcie no łóżko i chwycie go pod ramię... Wyśmienicie... Mój kumie, nie zostało tam co w butelce?

– Nie.

– Stańcie tu na miejsce żony, a ona niech pójdzie poszukać drugiej... Dobrze, dobrze, lejcie pełno... kobieto, zostawcie męża i chodźcie tu do mnie... – Gospodyni zawołała jeszcze raz któreś z dzieci. – Ech, do stu czartów, powiedziałem wam, że dziecko na nic się tu nie zda. Klęknijże pani sobie, podłóż rękę, tu pod łydkę... Ech, kumo, co wy tak drżycie, jakby was nieszczęście miało trafić; no, śmiało... Lewą pod udo, tu, pod bandażem... Doskonale... – W mig przeciął nitki, odwinął bandaż, zdjął opatrunek i obnażył ranę. Obmacuje z góry, z dołu, z boku, ilekroć zaś mnie dotknie, powiada: – Ignorant! osieł! cymbał! takiemu bawić się w chirurga! Taką nogę ucinać! Będiesz nią chodził nie gorzej niż tamtą, ja ci zaręczam.

– Wyleczę się?

– Nie takich wyleczyłem.

– Będę chodził?

– Będziesz.

– Nie kulejąc?

– To znów co innego; u diaska, mój przyjacielu, co ty masz za pretensje! Czy nie dość, że ci ocaliłem nogę? A zresztą, choćbyś i kulał, to drobnostka. Lubisz tańczyć?

– Bardzo.

– Jeśli będziesz chodził trochę gorzej, tańczyć będzie ci się tym lepiej... Pani kumo, wina ciepłego, tutaj... Nie, wprzód tamtego, do gęby: jeszcze jedną szklaneczkę, to opatrunkowi tylko wyjdzie na zdrowie.

Wychylił szklanke, przyniesiono gorącego wina, obmyto ranę, ukończono opatrunek, ułożono mnie w łóżku, upomniano, abym spał, jeśli zdołam, zasunięto firanki, dokończono butelki, przyniesiono drugą i zaczęła się narada między chirurgiem, gospodarzem i gospodynią.

Gospodarz: Słuchajcie, kumie, czy to potrwa długo?

Chirurg: Bardzo długo... W wasze ręce.

Gospodarz: Ile? Miesiąc?

Chirurg: Miesiąc! Powiedźcie dwa, trzy, cztery, któż może wiedzieć? *Rotula* nadwierzona, *femur*, *tibia*... W wasze, pani kumo.

Gospodarz: Cztery miesiące! Jezu miłosierny! Po co go było brać do domu? Diabliż ją wynieśli na ten próg przeklęty!

Chirurg: W moje ręce; napracowałem się tego.

Gospodyni: Znowu mąż zaczyna swoją śpiewkę. Co innego przyrzekłeś dziś w nocy; ale cierpliwości, przyjdzie koza do woza.

Gospodarz: Ale powiedz mi, co począć z tym człowiekiem? Gdybyż bodaj rok nie był taki lichy!

Gospodyni: Jeżeli chcesz, pójdę do proboszcza.

Gospodarz: Jeśli nogą tam stąpisz, kości ci połamię.

Chirurg: Czemu, kumie? Toć moja tam zachodzi.

Gospodarz: To wasza sprawa.

Chirurg: Zdrowie mojej chrześniaczki; jakże się ona miewa?

Gospodarz: Bardzo dobrze.

Chirurg: No, kumie, zdrowie naszych żon – dzielne kobiety.

Gospodarz: Wasza ma więcej oleju w głowie; nie byłaby taka głupia, aby...

Gospodyni: Ależ, panie kumie, może by siostry szarytki...

Chirurg: Och, pani kumo! mężczyzna, mężczyzna u sióstr! A przy tym jest pewna mała trudność, troszkę większa niż palec... Pijmy za zdrowie sióstr, to dobre dziewczęta...

Gospodyni: A jaka trudność?

Chirurg: Wasz mąż nie chce, abyście szli do proboszcza, a moja żona nie chce, bym chodził do sióstr... Ejże, kumie, jeszcze szklaneczkę, to nam może rozjaśni w głowie. Wzięliście już na spytki tego człowieka? nie jest może bez środków.

Gospodarz: Żołnierz!

Chirurg: Żołnierz ma ojca, matkę, braci, siostry, krewnych, przyjaciół, kogoś pod słońcem... Napijmyż się jeszcze ten łycalek, oddalcie się i pozwólcie mi działać.

Taka była rozmowa chirurga, gospodarza i gospodyni; ale jakże inaczej mogłem ją obrócić wprowadzając na przykład jakiegoś zbrodniarza między tych pocziwych ludzi! Kubuś ujrzałby się lub wy byście ujrzeli Kubusia wywleczonym z łóżka, porzuconym na gościńcu albo w jakiej rozpadlinie. – Cemu nie zabitym? – Zabitym, nie. Umiałbym w potrzebie wezwać kogoś na pomoc, ten ktoś mógłby to być żołnierz z jego kompanii, ale to by cuchnęło *Clévelandem* do obrzydliwości. Prawdy! prawdy! – Prawda – powiecie – jest często sucha, pospolita i płaska; na przykład ta ostatnia opowieść o opatrunku Kubusia jest prawdziwa, ale co w niej zajmującego? Nic. – Przyznaję. – Jeśli być prawdziwym, to tak jak Moliere, Regnard, Richardson, Sedaine⁵; prawda ma swoje strony uderzające, które się chwyta, gdy się ma talent. – Tak, gdy się ma talent; ale gdy ktoś nie ma? – Gdy nie ma, nie powinien pisać. – A gdyby przypadkiem podobny był do pewnego poety, którego swego czasu wyprawiłem do Pondichéry? – Cóż to za poeta? – Ów poeta... Ale jeśli będziesz przerywał, czytelniku, i jeśli ja sam będę sobie przerywał co chwila, co się stanie z amorami Kubusia? Wierzaj mi, dajmy pokój poecie... Gospodarz i gospodyni oddalili się... – Nie, nie, historię poety z Pondichéry. – Chirurg zbliżył się do łóżka... – Historię poety z Pondichéry, historię poety z Pondichéry. – Jednego dnia przyszedł do mnie młody poeta, tak jak przychodzi ich co dzień... Ale, czytelniku, co to ma za związek z podróżą Kubusia Fatalisty i jego pana?... – Historię poety z Pondichéry. – Po zwykłych komplementach dla mego talentu, geniuszu, smaku, dobroczynności oraz po innych grzecznościach, którym nie wierzę ani słówka, mimo iż będzie dwadzieścia lat, jak mi je powtarzają, może i szczerze, młody poeta wyciągnął papier z kieszeni. – To wiersze – powiada. – Wiersze! – Tak, panie, i mam nadzieję, że będzie pan łaskaw wyrazić mi o nich swe zdanie. – Czy pan lubi prawdę? – Tak, panie, i proszę o nią. – Będziesz ją miał. – Jak to! – rzecze czytelnik – jesteś dość ograniczony, aby wierzyć, iż poeta przychodzi szukać u ciebie prawdy? – Tak. – I dość naiwny, aby mu ją powiedzieć? – Z pewnością! – Bez ogródek? – Oczywiście: oględność, choćby najlepiej upozorowana, byłaby grubą obrazą. Ściśle przetłumaczona, znaczyłyby: jesteś pan lichym poetą, a ponieważ nie przypisuję panu dość rozumu, abyś był zdolny usłyszeć szczerą prawdę, jesteś tym samym marnym człowiekiem. – I szczerze taka zawsze ci się powiodła? – Prawie zawsze... Czytam tedy wiersze młodego poety i mówię: – Nie tylko pańskie wiersze są liche, ale jest dla mnie niezbitym pewnikiem, że nigdy nie będziesz pisał dobrych. – Nie pozostaje mi tedy nic innego, jak pisać nadal złe, nie mógłbym bowiem przemóc na sobie, aby w ogóle nie pisać. – To mi straszliwe przekleństwo! Czy zdajesz sobie sprawę z nędznego losu, jaki cię czeka? Ani bogowie, ani ludzie, ani kolumny nie darowały mierności poetom⁶, tak rzekł Horacy. – Wiem o tym. – Jesteś bogaty? – Nie. – Biedny? – Bardzo biedny. – I do ubóstwa chcesz dołączyć śmieszność lichego poety; zmarnujesz życie, zestarzejesz się. Stary, biedny i lichy poeta, ach, panie! cóż za rola! – Pojmuję to, ale coś ciągnie mnie mimo mej woli... (Tu Kubuś byłby powiedział: „Ale tak było zapisane w górze”). – Czy masz rodziców? – Mam. – Czymże się trudnią? – Złotnictwem. –

⁵ R e g n a r d (1655 – 1709) – wybitny komedio pisarz epoki pomolierowskiej; R i c h a r d s o n (1689 – 1761) – głośny współcześnie powieściopisarz angielski; S e d a i n e (1719 – 1797) – współczesny Diderotowi komediopisarz francuski.

⁶ Kolumny, na których księgarz ogłaszał tytuły dzieł „...mediocribus esse poetis – Non homines, non Di, non concessere columnae.” Horat., *De arte poet.*, w. 373.

Czy uczyniliby coś dla pana? – Może. – Zatem idź pan do rodziców, poproś, aby ci zakredytowali ładunek towaru. Wsiadaj na okręt, który odpływa do Pondichéry, w drodze będziesz robił liche wiersze, przybywszy na miejsce zrobisz majątek... Zrobiwszy majątek, wrócisz, aby znów pisać liche wiersze, ile ci się tylko spodoba, byle ci się nie zachciało drukować, po cóż bowiem rujnować biednego drukarza... Upłynęło ze dwanaście lat, jak dałem młodemu człowiekowi tę radę, kiedy ujrzałem go znowu: nie poznałem go. – To ja – rzekł – ten, któregoś pan wysłał do Pondichéry. Byłem, zebrałem ze sto tysięcy franków, wróciłem, zacząłem na nowo pisać wiersze i oto przynoszę je panu... Czy zawsze są liche? – Zawsze, ale skoro pański los jest zapewniony, nie mam nic przeciw temu, abyś nadal pisał liche wiersze. – Mam też ten zamiar.

Skoro chirurg zbliżył się do Kubusia, ten nie czekał na to, co mu powie. – Słyszałem wszystko – rzekł... Następnie, zwracając się do swego pana, dodał... Miał dodać, gdy go pan zatrzymał. Znużył się długim marszem, usiadł przy drodze i spoglądał w stronę, z której zbliżał się jakiś wędrowiec pieszo, wiodąc konia za uzdę.

Pomyślisz, czytelniku, że to właśnie ów koń, którego skradziono Kubusiowemu panu, i omylisz się. Tak zdarzyłoby się może w romansie, nieco wcześniej lub później, tak czy inaczej; ale to nie jest romans, powiedziałem już, o ile mi się zdaje, i jeszcze raz powtarzam. Pan rzekł:

– Widzisz człowieka, który tu idzie?

Kubuś: Widzę.

Pan: Koń niezły.

Kubuś: Służyłem w piechocie, nie znam się na tym.

Pan: A ja dowodziłem w kawalerii i znam się.

Kubuś: Cóż dalej?

Pan: Cóż dalej? Pójdziesz spytać, czy by go nam nie ustąpił, oczywiście nie darmo.

Kubuś: To szaleństwo, ale idę. Ile pan gotów ofiarować?

Pan: Do stu talarów...

Kubuś zaleciwszy panu, aby znów nie usnął, idzie na spotkanie wędrowca, robi propozycję, płaci i zabiera konia. – I cóż, Kubusiu – rzecze pan – jeśli ty masz przecucie, i ja mam swoje. Konik piękny, kupiec przysiągł ci pewnie, że jest bez wady, ale gdy chodzi o konia, każdy człowiek jest podejrzany.

Kubuś: A kiedyż nim nie jest?

Pan: Siądziesz nań tedy i ustąpisz mi swego.

Kubuś: Zgoda.

I oto obaj znaleźli się na siodle, a Kubuś rozpoczął:

– Kiedym opuszczał dom, ojciec, matka, ojciec chrzestny, każdy wcisnął mi coś w rękę, wedle swych skromnych środków; prócz tego miałem w zapasie pięć ludwików, które Jaś, mój starszy brat, darował mi, gdy się puszczał w nieszczęsną podróż do Lizbony... (Tu Kubuś zaczął płakać, pan zaś przedkładać mu, że tak było napisane w górze.) Prawda, panie; mówiłem to sobie sto razy, a i tak nie mogę wstrzymać się od płaczu...

Kubuś zaczyna szlochać i beczeć w najlepsze; pan pociąga niuch tabaki i spogląda na zegarek. Wziąwszy uzdę w zęby i wytarłszy oczy obiema garściami, Kubuś ciągnął dalej:

– Z pięciu ludwików Jasia, z rekruckiego zadatku oraz z podarków krewnych i przyjaciół złożyłem sobie skarbczyk, z którego do tej pory nie ruszyłem ani obola. Przypadł mi się ten zapasik w dobrą chwilę, jak się panu zdaje?

Pan: Niepodobna ci było dłużej zostać w chacie.

Kubuś: Nawet za zapłatą.

Pan: Ale kiego licha twój brat szukał w Lizbonie?

Kubuś: Można by myśleć, że pan poprzysiągł sobie sprowadzić mnie z drogi. Z pańskimi pytaniami możemy objechać świat dokoła, nim dojedziemy do końca moich amorów.

Pan: O cóż chodzi, byleś ty gadał i byłem ja słuchał? Czy to nie są punkty zasadnicze? Łajesz mnie, gdy powinienś mi dziękować.

Kubuś: Otóż brat szukał w Lizbonie spokoju. Jasiek, mój brat, był to chłopak z głową: i to mu przyniosło nieszczęście; byłoby mu lepiej być ciemną jak ja; ale tak było napisane w górze. Było napisane, iż braciszek kwestarny, karmelita, który zjawiał się we wsi żebrać jajek, wełny, konopi, owocu i wina, wedle pory roku, będzie mieszkał u mego ojca, że zbałamuci Jaśka, mego brata, i że Jasiek, mój brat, przywdzieje habit.

Pan: Twój brat był karmelitą?

Kubuś: Tak, panie, i to karmelitą bosym. Z natury obrotny i przemyślny, był adwokatem i doradcą całej wsi. Umiał czytać i pisać; od młodu bawił się odcyfrowywaniem i kopiowaniem starych pergaminów. Przeszedł wszystkie godności zakonu; był kolejno furtianem, szafarzem, ogrodnikiem, zakrystianem, pomocnikiem gwardiana i skarbnikiem; idąc tą koleją byłby zapewnił los nam wszystkim. Wydał za żonę, i dobrze wydał, dwie siostry i jeszcze kilka dziewcząt we wsi. Nie mógł przejść przez ulicę, aby ojcowie, matki, dzieci nie biegli ku niemu i nie wołali: „Dzień dobry, bracie Janie; jak się miewacie, bracie Janie?” To pewna, iż kiedy wchodził w dom, wchodziło z nim błogosławieństwo boże: jeśli była w domu dziewczyna, w dwa miesiące potem wyszła za żonę. Biedny brat Jan! Ambicja go zgubiła. Gwardian, któremu go przydano za pomocnika, był stary. Mnichy posadziły Jasia, że umyślił sobie zająć to stanowisko po jego śmierci, że w tym celu przewrócił do góry nogami całe archiwum, spalił dawne rejestra i sporządził nowe, tak iżby po śmierci starego gwardiana sam diabeł nie wyznał się w aktach klasztoru. Trzeba było jakiego dokumentu? tracono trzy miesiące na odszukanie go; a i tak często bez skutku. Ojcowie zwąchali podstęp brata Jana i jego zamiary: pogniwiali się i brat Jan zamiast zostać gwardianem, jak sobie roił, znalazł się w komórcie o chlebie i wodzie, poty próbowany dyscypliną, póki nie zdradził klucza do swych rejestrów. Mnichy są nieubłagane. Kiedy wyciągnęli z brata Jana potrzebne wyjaśnienia, zrobili go parobkiem do noszenia węgla w laboratorium, gdzie destyluje się krople karmelitańskie. Brat Jan, wprzód podskarbi i pomocnik gwardiana, węglarzem! Brat Jan miał ambicję; nie mógł znieść upadku swej powagi i blasku; czekał jeno sposobności, aby się umknąć temu upokorzeniu.

Przybył wówczas do klasztoru młody ojczyk, który uchodził za cud świata w konfesjonale i na kazalnicy; nazywał się ojciec Anioł. Miał piękne oczy, gładkie lica; ramiona i ręce tylko rzeźbić! Dopieroż ojciec Anioł każe i każe, spowiada i spowiada; wszystkie pobożne duszyczki czepiają się habitu ojca Anioła; w wigilię niedziel i świąt sklepik ojca Anioła oblegają barany i owieczki, gdy starzy ojcowie daremnie czekają na klientelę w opustoszałych kramikach, co ich wielce martwiło... Ale, panie, gdybym dał pokój historii brata Jana, a wrócił do historii moich amorów, to by może było weselsze.

Pan: Nie, nie; zażyjmy tabaki, spójrzmy, która godzina, i jedź dalej.

Kubuś: Niech i tak będzie, skoro pan sobie życzy.

Ale koń Kubusia był odmiennego zdania; nagle dał susa i skoczył w jar. Daremnie Kubuś ścisnął go kolanami i ściągał wędzidło, uparte zwierzę rzuca się i pędem wdrapuje się na jakiś wzgórek; tu zatrzymuje się jak wryte. Kubuś zaś, powiódłszy okiem, widzi się między ramionami szubienicy.

Kto inny niż ja, miły czytelniku, nie omieszkałby przystroić owej szubienicy nadobnym wisielcem i zgotować Kubusiowi przykrą niespodziankę. Uwierzylibyście może, bywają bowiem przypadki bardziej osobliwe, ale niemniej nie byłoby to prawdą: szubienica była próżna.